Chcę jeszcze trochę pograć

Po koncercie Andrzeja Olejniczaka i „Adzika" Sendeckiego w Piwnicy pod Baranami w ramach Summer Jazz Festival 2018, muzycy wraz z gośćmi przenieśli się do Jazz Clubu „U Muniaka". W Piwnicy był juz Michał Urbaniak. Dyrektor Festiwalu, Witold Wnuk korzystając z okazji zaaranżował „jam session". Mimo późnej pory, spontaniczny koncert wyszedł fantastycznie. Tak jak chciał Janusz Muniak, jego klub wciąż działa i przyciąga młodych ludzi. Na zdjęciu Andrzej Olejniczak (z lewej) i Michał Urbaniak (z prawej) wraz z młodymi adeptami jazzu, fot. Jacek Gwizdka.

Z Januszem Muniakiem rozmawia Bożena U. Zaremba.

Kraków 2006 r., ulica Floriańska 3, tuż przy Rynku Głównym. W bramie przeciskamy się przez stoisko z okularami przeciwsłonecznymi i parasolami – w Krakowie trzeba być przygotowanym na każdą pogodę. Potem kantor wymiany walut, po prawej drzwi do podziemia. To chyba tu. Jest wywieszka, właściwie skromna kartka – dzisiaj gra Janusz Muniak. Piwnica taka jak

wiele w krakowskich kamienicach Starego Miasta, a jednak inna. Jakby inna temperatura. Dosiadamy się z mężem do dwóch, jak się okazało, Amerykanów. Jeden z nich to daleki krewny samego Stana Getza. Dla nich klub „U Muniaka" to jedno z miejsc, które koniecznie trzeba w Krakowie „doświadczyć"; w końcu w plebiscycie „Jazz Forum" na najlepsze kluby jazzowe w Polsce jest na samym topie.

Mąż popija „Jazz Mana", ja w końcu decyduję się na „Summertime". Bez specjalnych zapowiedzi pojawia się na scenie kilku muzyków, a między nimi niewysoki, niepozorny, Janusz Muniak, który, gdy zaczyna grać staje się wielki. Taki mały wielki człowiek. W czasie przerwy próbuję namówić go na rozmowę. Niezbyt chętnie, bo wspominek nie lubi, ale w końcu się zgadza porozmawiać o swoim Klubie jazzowym. O klubie, podkreśla, nie restauracji.

Janusz Muniak:

U nas szczególnie ważne jest to rozgraniczenie. Restauracja służy gościom w sposób wiadomy, natomiast generalną zasadą i powinnością tego miejsca jest uprawianie muzyki.

Bożena U. Zaremba:

Niedawno pewien znany polski jazzman szczycił się tym, że on nigdy nie grał do kotleta. Czy rzeczywiście przynosi to ujmę?

Według mnie, nie. Tyle, że w naszym kraju, w naszej mentalności, jest to inaczej pojmowane – że w restauracji gra się gorszą muzykę. Ale na przykład w Ameryce, jak wiem, grywa się jazz w hotelach, czy w salach, gdzie podaje się różne rzeczy. Przecież to nie miejsce świadczy o tym czy muzycy grają dobrze czy nie. Można przecież grać kiepsko w filharmonii. Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, gdzie się gra.

W końcu jazz był w swych początkach muzyką „użytkową", graną przez wiele lat po prostu do tańca…

Nawet muzyka poważna, którą gra się teraz w filharmonii, niekiedy służyła do tańca. Tym co mówią, że do kotleta nie wypada grać, mogę więc powiedzieć, że, odwracając jakby sytuację, nic nie szkodzi, jeżeli w miejscu, w którym się gra, można zjeść

kotleta, który jest jedynie dodatkiem. Mnie nie przeszkadza, że ludzie jedzą w trakcie grania. Raczej to, że nie wiedzą, jak się zachować. Najgorsze są zorganizowane wycieczki – straszliwie hałasują. Kompletny brak szacunku dla miejsca. Jedynie Amerykanie wiedzą, gdzie przychodzą.

Jak zrodził się pomysł otwarcia klubu jazzowego „U Muniaka”?

Pomysł ten za mną chodził od długiego czasu. Kiedyś był w Krakowie taki mały klub jazzowy przy ulicy Św. Marka, „Helicon”, gdzie ja, jako młody chłopak stawiałem swoje pierwsze muzyczne kroki. Przez ten, historyczny już, klub przewinęło się wielu znakomitych, do dziś grających i uznanych muzyków. Była to taka wylęgarnia wspaniałych jazzmanów. Wreszcie władzom komunistycznym nie spodobało się, że tu się rozwija taka enklawa wolności i klub został zamknięty w 1968 roku. Mnie zaświtał taki pomysł, żeby reaktywować coś na kształt tego właśnie klubu, gdzie muzycy jazzowi mogą się spotykać i grać.

Klub „U Muniaka” istnieje od 1992 roku. Czy napotkał Pan na jakieś problemy przy jego prowadzeniu?

Gdybym wiedział co mnie czeka, to bym szybko biegł w odwrotną stronę. To jest bardzo wielkie szczęście dla człowieka, że nie wie co go czeka, bo by z wielu rzeczy zrezygnował. Sprawy, które się działy zaraz po założeniu klubu były wręcz skandaliczne, łącznie z zagrożeniem mojego życia, ale nie chciałbym o tym wszystkim mówić. Faktem jest, że przez to przebrnąłem, że się uodporniłem. Nawet na to, że ludzie najbardziej zaufani mogą zawieść na całej linii. To się uciszyło, klub istnieje, głównie dzięki wspaniałemu Januszowi Lunzowi, [który zajmuje się stroną biznesową Klubu]. Przy tym nie jest pazerny, on po prostu polubił muzyków i to co się tutaj dzieje. Nie jest on wcale łagodnym facetem i nie może być. Bez niego to ja bym się zupełnie wyłożył na plecy.

Czy prowadzenie Klubu jest nadal uciążliwe?

Wiele trudności na szczęście zelżało. Natomiast na biurokrację nie ma rady. W mentalności urzędników kuchnia przynosi zyski, a przecież w moim Klubie jest ona tylko dodatkiem. Przez dwa lata chodziłem do urzędu tłumaczyć, że tutaj sprawą pierwszoplanową jest muzyka. Wywalczyłem w końcu stawkę preferencyjną [na

wynajem lokalu]. Przychodzi jednak następna zmiana kadencji i wraz z nią podwyżka czynszu o 400%. Ale nie ma co narzekać. Żyjemy w końcu w czasach wielkich przemian. Co jest bardzo satysfakcjonujące to to, że z biegiem czasu młodzi muzycy jakoś przylgnęli do tego miejsca i bardzo lubią tutaj być i grać, tutaj szlifują swoje umiejętności, zakładają swoje grupy.

Jak wygląda zapraszanie gości do grania w Klubie?

Na początku były problemy, musiałem dzwonić, prosić. Ale teraz to ja w ogóle nie muszę się przejmować kto będzie grał, dlatego, że ci młodzi muzycy sami to organizują. Oni mnie znakomicie poznali, a ja ich, nie ma żadnych scysji, jak to nieraz w tym środowisku bywa. Ja traktuję ich jak własne dzieci, a oni traktują mnie jak ojca. Relacje są po prostu znakomite. Od dziecka marzyłem, poprzez wrodzone lenistwo, o takim *perpetum mobile* – żeby raz wpuszczone w ruch, samo się kręciło. I to w tym kontekście się bardzo dobrze sprawdziło. Żadnych podpisów, żadnych legitymacji, żadnych zobowiązań. I jeszcze, żeby ludzie sobie wierzyli i nawzajem się szanowali. I to udało mi się tutaj stworzyć.

Młodzi muzycy nie tylko występują u Pana w Klubie, ale także na ostatnich Pańskich płytach. Czy wynika to z chęci ich promowania czy też czerpania inspiracji z młodego pokolenia muzyków?

Postępuję trochę jak dziecko. Żadnego wyrachowania, kalkulowania. To odbywa się zupełnie naturalnie. Oni po prostu tutaj są. Gramy razem, z biegiem czasu to się wyszlifuje i okazuje się, że można z tego zrobić jakiś materiał. I wtedy coś nagrywam.

Jazz Club „U Muniaka”, Andrzej Olejniczak (saksofon), w tle fotografia Janusza Muniaka, lipiec 2018, fot. Jacek Gwizdka.

W Klubie zagrało wielu wybitnych polskich jazzmanów – Tomasz Stańko, Zbigniew Namysłowski, Jarosław Śmietana, Andrzej Jagodziński, Wojciech Karolak. Gościli tutaj także Wynton Marsalis i Nigel Kennedy…

Też Ravi Coltrane, syn Johna Coltrane’a. Świetnie tutaj zagrał i był bardzo zadowolony. Ale te nazwiska można by mnożyć. Ja nie tworzę pamiętników i nie mam

tak całkiem świadomości kto tu występował. My nie mamy możliwości, żeby na przykład z Ameryki sprowadzić gościa specjalnie. Ale jeśli jest jakaś większa impreza, ktoś ich sprowadzi do Krakowa, to przy okazji przychodzą pograć do mojego Klubu. Marsalis tak właśnie tutaj trafił. Sam chciał tutaj zagrać. Grał dwa dni, o pieniądze nie pytał. I tak wielu muzyków amerykańskich przewinęło się przez Klub. W tej chwili w Stanach wielu muzyków ma świadomość jego istnienia.

Tak więc wiele koncertów odbywa się spontanicznie i bezplanowo…

W zasadzie tak, bo plany często nie wypalają. Nie robimy hucznych, spektakularnych imprez, bo uważam, że chleb powszedni, czyli kromka chleba i szklanka wody są człowiekowi najbardziej potrzebne.

Mówiąc o chlebie powszednim – czy jazzman jest w stanie wyżyć z muzyki?

To pytanie towarzyszy muzyce odwiecznie. Ja powiem, że to nie jest łatwe życie, to jest ryzyko. To nie jest tak jak pracuje się w fabryce, jest etat, są związki zawodowe, które bronią pracownika. My też przeżyliśmy związki. Ale jeżeli człowiek sobie sam nie pomoże to nikt mu nie pomoże. Jedni narzekają, że nie mogą wyżyć, że mają mało pracy. Muzyk w końcu ma pracę, kiedy go zaproszą tu czy tam. Albo musi mieć menadżera. Ja nie mam menadżera. Poza tym, z wiekiem, moje wymagania się uspokoiły. Wystarczy, że ten Klub istnieje. Ta cała ekipa to nie są ludzie, którzy przyszli się tutaj dorobić. My moglibyśmy łatwo opuścić ręce i powiedzieć – to się nie opłaca. Bo to się nie opłaca. Ale popatrzmy na to ile tutaj młodych ludzi przychodzi, chcą grać i nie pytają o pieniądze. Trudno znaleźć takie miejsce. Coś ich tutaj przyciąga. Ja sam nie wiem co. Faktem jest, że oni chcą tu grać. Może to miejsce da im szansę wyjścia dalej na estradę. Mogą tutaj swój indywidualny program tworzyć i potem realizować go poza Klubem.

Jam session w Jazz Clubie „U Muniaka”, lipiec 2018 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy Klub ma jakiś sponsorów?

Nie, żadnych.

A państwo – czy jest pomocne?

Nie, bo nasze ustawodawstwo nie przewiduje pomocy indywidualnej osobie. Pomoc przewidziana jest dla związków czy stowarzyszeń. A ja się z tego wyleczyłem, ponieważ mam złe wspomnienia z założonej przeze mnie fundacji. Uważam, że im więcej paragrafów i podpisów tym więcej bałaganu. W Klubie w tych sprawach ograniczyliśmy się do minimum. Poza tym, nie ma co oglądać się na pomoc państwa czy kogokolwiek; trzeba wziąć sprawy we własne ręce i liczyć przede wszystkim na siebie.

W tym roku w Krakowie odbył się dziesiąty już Letni Festiwal Jazzowy Piwnicy pod Baranami. Nota bene, Pański kwartet zagrał na koncercie inauguracyjnym tego festiwalu. W ostatnich latach festiwal ten bardzo się rozrósł, jest też w Krakowie więcej koncertów i klubów jazzowych działających na stałe. Więc jednak coś się dzieje…

Z tymi klubami jest różnie, jedne są mniej inne bardziej jazzowe. A to, że Witkowi Wnukowi udaje się robić ten festiwal to wspaniale. Ja jednak jestem tylko muzykiem i

nie zajmuję się menagementem. To jest moje mistrzostwo, że tutaj wszystko samo się organizuje. Ja chcę tylko jeszcze trochę pograć.

Janusz Muniak zmarł 31 stycznia 2016 r.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim" w Nowym Jorku w styczniu 2006 r.

Zob. też:

http://www.cultureave.com/koncert-andrzeja-olejniczaka-i-vladyslava-adzika--sendeckiego-w-piwnicy-pod-baranami/